NUMER 7. LWÓW, DNIA 15. MAJA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów. Milkowskiego 11.

ELIZA ORZESZKOWA.

„Daj kwiatek"

(w streszczeniu).

(Dokończenie.)

Razu pewnego, gdy bawił się z innymi chłopcami na ulicy, zobaczył z daleka kobietę w białej, powłóczystej sukni, z ogromną więzią prześlicznych kwiatów w ręce. Gromadką całą biegli za panią w białej sukni, a krzyki ich napełniały powietrze wrzawą ogłuszającą. Chaimek szczególnie nie mógł oderwać oczu od ogromnego i prześlicznego bukietu. Dotąd widywał on tylko kwiaty malowane na starych sukniach, wtłoczonych w kosz starej Chaity, albo te, które przyozdabiały dziurawe kapelusze sąsiadek. Nigdy jeszcze w swem życiu nie widział kwiatów żywych, wonnych, świetnych gorącemi barwami, operlonych jeszcze srebrnemi kroplami rosy. Teraz zobaczył je i aż drżał cały od zachwycenia niewymownego. Inni chłopcy biegli za panią w bieli w pewnem oddaleniu, palcami tylko ukazując ją i jej bukiet. Ale Chaimek zabiegał jej wciąż drogę i, wyciągając obie ręce ku jej kwiatom, roziskrzone, błagalne oczy podnosił. Zdjęty nieśmiałością usuwał się potem, aby wnet znowu zabiedz jej drogę.

Ona nie zważała przez chwilę ani na dziecko, ani na ruchy jego na-pół nieśmiałe, na-pół gwałtowne, gdy nagle Chaimek pochwycił suknie jej i z lekka ją ku sobie pociągnął. Stanęła wtedy i ze zdziwieniem zrazu, potem z uśmiechem na dziecko spojrzała. Schylona nad nim zapytała:

— Czego chcesz mały?

Chaimek nieśmiałym, powolnym ruchem, dotknął końcem palca jej kwiatów.

— Poproś ładnie — rzekła — a może dam ci kwiatek z mego bukietu? Powiedz mały: daj kwiatek!

W minutę potem biegł Chaimek do domu, trzymał kwiaty swe w wysoko podniesionym ręku, biegł bardzo szybko, ani słyszał wołań goniących towarzyszy — i wpadł do mieszkania babki.

— Chaimku — zawołała — a skąd ty wziął te piękności. Daj mi, niech im się przypatrzę! Ach! jak one pachną! Kiedy ja byłam młoda, takie same piękne kwiaty widywałam w dworskim ogrodzie.

Chaimek siedział w kątku na swojej pierzynce i opowiadając babce o pani i o sposobie, w jaki kwiaty od niej otrzymał, całował od chwili do chwili róże i lilie.

Całą noc śniła mu się ta pani i śniły mu się kwiaty. W obawie aby mu gdzie nie zginęły, włożył je sobie pod poduszkę.

Nazajutrz Chaita usłyszała za sobą głośne szlochanie. Odwróciła się i oto jaki obraz przedstawił się jej oczom:

Na wiązce słomy, przykrytej pierzynką, siedział Chaimek z włosami wśród snu rozczochranymi i zjeżonymi, a kolana jego przykryte szarą koszuliną i drobne, nagie stopy osypane były zwiędłymi kwiatami.

Otworzywszy oczy ze snu, sięgnął on wnet pod poduszkę i wydobył skarby swe, lecz w jakimże stanie! Atłasowe liście białych lilii zżółkłe były i porozdzierane, róże, na pół ogołocone ze swych koron, sterczały uwiędłemi łodygami, szerokie zielone trawy zmieniły się do niepoznania. Chaimek z obwisłemi rękoma patrzał na nie i płakał, szlochając głośno, pełną piersią.

Daremnie pocieszała go babka pieszczotliwymi wyrazy. Łzy duże, rzęsiste, strumieniem nieprzerwanym lały się z oczu jego i spadając na uwiędłe kwiecie, skrapiały je obfitą niby rosą.

Jedna tam była tylko gałąź niezapominajek, która zachowała jeszcze trochę świeżości i barwy. Błękitne te gwiazdki ze złotemi oczyma zdawały się łagodnie i smutnie patrzeć na zapłakanego chłopczynę.

Kieszonkowy kalendarz.

Przyszedł telegram — wujaszek przyjedzie! Radość dzieci nie da się opisać.

Przyjazd wujaszka to znaczy dla nich ciągłe figle, żarty, opowiadanie i „sztuczki".

Starały się wymyśleć coś, żeby wujaszkowi odrazu na wstępie figla spłatać, ale nie udawało im się jakoś, więc powitano wuja serdecznie, szczerze, radośnie, ale bez żartobliwych niespodzianek.

Wuj był trochę blady i nie tak czerstwo wyglądał, jak zwykle.

— Co ci jest? — pytali zaniepokojeni rodzice.

— Nic — odrzekł — byłem trochę niezdrów, ale jest mi już zupełnie dobrze, czuję się najlepiej, a ślady choroby, które na twarzy mi zostały u Was z pewnością znikną. Nie myślcie jednak żem próżnował w łóżku, o nie! — rzekł wuj, przybierając tajemniczą minę.

— A cóż wuj robił?

— Odkrycia! — zawołał tryumfująco.

— Jakie wujaszku? jakie? — wołały dzieci.

— Nie powiem zaraz. Zjem, wypocznę, pogadam z wami, a potem dowiecie się.

Rozmawiano przy kolacyi o najrozmaitszych rzeczach, dzieci nie śmiały pytać wuja o jego odkrycie i czekały aż sam powie.

— Ciekaw jestem, czy będę mógł przyjechać do Was na mamusi urodzinki — spytał wuj wśród rozmowy.

— Przyjedź wujaszku! — prosiły dzieci.

— Nie wiem, jeżeli przypadną na sobotę lub niedzielę, to przyjadę.

— Zaraz zobaczę — zawołał Karolek usłużnie — tylko poszukam kalendarza.

Ojciec począł szukać po kieszeniach.

Mamusia zapewniała, że ma z pewnością kalendarzyk w szufladce w biórku, żeby jej tylko pozwolili wstać od stołu, a zaraz go przyniesie.

— Co za pospiech! — zawołał wujaszek — co za nadzwyczajna gotowość! widzę, że zależy wam na tem, bym przyjechał. Otóż nie potrzeba kalendarza, bo mam kalendarz na zegarku. Popatrzę na zegar i powiem Wam w jaki dzień przypada 14. sierpnia, czyli mamusi urodziny.

To mówiąc wyciągnął wuj swój zegarek kieszonkowy. Wszyscy wstali od stołu, by zobaczyć zegarek.

— Nic na nim nie widzę.

— Ale ja na nim dobrze czytać umiem — rzekł wyjaszek. — Brawo! Urodziny będą w niedzielę.

Wszyscy ogromnie byli zdumieni, jak to wuj z zegarka wyczytał, a mamusia przyniosła kalendarz, by zobaczyć, czy wuj dobrze powiedział. Rzeczywiście 14. sierpnia przypadał na niedzielę.

— A którego dnia wypadnie 20. czerwca? — spytała trzymając kalendarz w ręku.

Wuj popatrzył na zegarek.

— Poniedziałek! — Wszyscy zajrzeli do kalendarza.

— Dobrze! brawo! doskonale!

— A 15. lipca?

— Piątek.

— Brawo! a 2. września?

— Poniedziałek.

Teraz już nie tylko dzieci, ale i ojciec ogromnie był zdumiony i zaciekawiony.

— Jak to wiedzieć możesz? skąd to wiesz? pokaż jeszcze raz swój zegarek!

XII.
3.
XI. I.
1. 4.
X. II.
5. 0.
IX. 3. 1. III.
0. 4.
VIII. IV.
4. 6.
VII. V.
2.
VI.

Ojciec zobaczył, że na zegarku wuja napisane była lekko ołówkiem pod godz. XII. arabska trójka, pod I-szą czwórka, pod II-gą zero, pod trzecią — jedynka, pod czwartą — czwórka, pod piątą — szóstka, pod szóstą — dwójka, pod siódmą — czwórka, pod ósmą — zero, pod dziewiątą — trójka, pod dziesiątą — piątka, pod jedenastą — jedynka.

— To jest moje odkrycie z czasów choroby — rzekł wuj.

Mamy w roku 12 miesięcy, tyle ile jest godzin na zegarku. Każda godzina oznacza u mnie jakiś miesiąc. Pierwsza — miesiąc pierwszy w roku styczeń; druga — miesiąc drugi — luty; trzecia — marzec, czwarta — kwiecień itd. Również liczbami ozuaczyłem dnie w tygodniu; niedziela = 0; poniedziałek = 1; wtorek = 2; sobota = 3; Napisałem sobie na swoim zegarku przy każdym miesiącu cyfrę dnia od którego się dany miesiąc w tym roku zaczyna. Jeżeli pierwszy przypada na niedzielę, to napisałem 0, jeżeli na sobotę to 6; na wtorek to = 2 itd. Tak że przy każdej godzinie umieszczoną jest pewna liczba; tę liczbę dodaje się do daty, którą szukam, np. 8. kwietnia. Kwiecień jest miesiącem czwartym, przy czwartej godzinie napisałem datę 4. Dodajemy przeto 8 do 4 = 12. Sumę zaś powstałą z takiego dodawania dzielę zawsze przez 7, bo jest 7 dni w tygodniu. 12 : 7 = zostaje pięć. Ważną jest reszta zostająca z tego dzielenia, w tym wypadku 5, bo dzień, którego szukam, będzie piątym dniem w tygodniu, więc piątkiem.

Rachunek to niezawodny. Możecie sobie wyszukiwać w ten sposób datę, którą chcecie, ale obliczenie to dobre jest tylko na rok bieżący. Na przyszły wypiszę inne cyfry na zegarku i w ten sam sposób będziemy znowu mieli na zegarku kieszonkowy kalendarz.

ANDERSEN.

LEN.

Bajka z duńskiego.

Len stał w kwiecie; miał prześliczne, niebieskie kwiatki, wiotkie jak skrzydełko motyla, albo może nawet jeszcze delikatniejsze. Słońce zsyłało na niego swoje jasne promienie, a chmury deszczowe zlewały go ożywczą strugą. Było mu tak dobrze z tem, jak dobrze jest dzieciom, gdy je matka myje, a potem popieści, pocałuje,— robią się z tego znacznie ładniejsze. I tak było także z lnem.

— Ludzie powiadają, żem się świetnie udał, — mówił do siebie len—żem wysoko wyrósł i że pewnie ze mnie będzie ładna sztuka płótna. Ach jakżem szczęśliwy! Jakże mi dobrze. Ze mnie napewno coś będzie. Jakże mnie cieszy blask słońca i jak orzeźwia deszczyk! Jestem bezgranicznie szczęśliwy!

— Tak, tak — odezwał się stojący obok kół w płocie. — Wy młodzi nie znacie jeszcze świata, ale pytajcie się nas o zdanie. Ledwie się oglądniesz i oto zaraz koniec piosenki.

— Nie, nie koniec — zawołał żywo len. — Jutro tak samo zaświeci słońce albo orzeźwiający spadnie deszczyk. Czuję jak rosnę, czuję jak jestem w pełnym rozkwicie! Jestem najszczęśliwszy!

Pewnego dnia przyszli ludzie, schwycili len za czub i wyciągnęli go z ziemi wraz z korzeniem; to bolało; potem włożyli do wody jak gdyby go mieli zatopić, a potem suszyli na ogniu. To było okropne!

— Nie zawsze może być jednakowo dobrze— myślał sobie len. — Trzeba coś przejść, aby zrozumieć świat i życie.

Potem nastąpiły coraz gorsze czasy, len znowu moczono, suszono na ogniu, łamano, czesano — miły Boże, czy on wogóle wiedział jak się to wszystko nazywa, co z nim wyprawiano! Wzięto go na kołowrotek: szur, szur, szur, jakże tu wogóle skupić myśli.

— Ach byłem nadzwyczajnie szczęśliwy — myślał sobie len podczas tych wszystkich mąk. — Trzeba się cieszyć tem szczęściem, które się przeżyło! Cieszyć się, cieszyć! O! — Tak samo myślał wśród bolu, gdy dostał się na warsztat tkacki, gdzie nareszcie przemienił się w piękny, duży kawał płótna. Cały len, aż do najmniejszej łodygi wszedł w to płótno.

— Ależ to nie do pojęcia! Nigdybym nie był myślał o czemś podobnem! Ach jakże szczęście mi sprzyja! Patrzcie państwo na tego głupiego koła w płocie, z tym jego końcem piosenki. Piosenka się wcale nie skończyła! Teraz się dopiero na nowo zaczyna! Prawda, przecierpieć trzeba było nie mało, no ale też przerobiono mnie na coś pożytecznego. Jestem mocne, cienkie, białe i długie. To całkiem co innego niż być tylko rośliną. Nikt się na roślinę nie ogląda, a wodę dostaje tylko, gdy pada deszcz. Teraz pielęgnują mnie i chodzą koło mnie pieczołowicie. Służąca przewraca mnie codziennie z jednej strony na drugą i zlewa wieczorem obficie wodą z koneweczki. Nawet pani pastorowa powiedziała, że jestem najładniejszą i najlepszą sztuką płótna z całej parafii. Nie mogę chyba być szczęśliwszym.

Wkrótce płótno wzięto do izby i dano pod nożyce szwaczki. Ach jakże je cięto i darto, jak rozkłuwano igłami! To chyba nie było przyjemnością! Z płótna zrobiono cały tuzin bielizny, takiej, którą każdy mieć musi, choć nie chętnie o niej mówi.

— No patrzcie państwo! Teraz dopiero stało się ze mnie coś pożytecznego! Więc takiem było moje przeznaczenie! To prawdziwe dobrodziejstwo! Teraz dopiero mogę się czemś przysłużyć światu i to jest największą przyjemnością. Jest nas dwanaście, a przecież jesteśmy wszystkie jednem i tem samem: jesteśmy całym tuzinem. Jakże nam szczęście sprzyja!

Lata minęły — już dłużej wytrwać niemogły.

— Nareszcie musi wszystko przeminąć — myślała sobie każda z osobna.

— Chętniebym była dłużej wytrwała, ale nie można chyba żądać od nas niemożliwości.

Rozerwano je na kawałki. Myślały, że teraz chyba nadszedł ich koniec, bo siekano je, moczono, same nie wiedziały co wszystko z niemi robiono — — aż wreszcie przemieniły się w biały, lśniący papier.

— A to dopiero niespodzianka — zawołał papier. — Teraz jestem jeszcze czemś lepszem niż byłem przedtem i ludzie będą pisali na mnie.

(Dokończenie nastąpi.)

Historya małpki.

(z rosyjskiego).

(Ciąg dalszy).

Bobuś trząsł się z zimna i ze strachu. Zbliżył się pokornie do Lulu, szukając u niej opieki — a Lulu siedziała nieruchoma, z wielkim bolem w sercu.... dziś zabrali ludzie jej dziecko!

Nagle — ocknęła się Lulu ze smutnego dumania. Spostrzegła Bobka, złapała go za ogonek, przyciągnęła do siebie! Zaczęła go tulić, pieścić i całować — a Bobi łasił się wdzięcznie do nowej swej opiekunki.

Dozorował je stary, gderliwy i ponury majtek. Wszystkie małpy przywiązane były sznurami do masztu. Pewnego dnia Mimi było szczególnie zimno. Zręcznie i szybko rozwiązała węzeł swego sznura, ukradkiem weszła do kajuty i ściągnęła z łóżka oficera kocyk. Mimi nie przeczuwała nawet, jak gorzko odpokutuje swoją śmiałość. Wróciwszy na swoje miejsce, zawinęła się cała w koc i usnęła. Nagle podskoczyła od niespodzianego uderzenia. „Ach ty, nędznico jedna, co za śmiałość zawijać się w' kołdrę oficera“, krzyczał majtek i uderzenia sypały się jak groch. Mimi złożyła ręce na piersi i chorem spojrzeniem patrzyła na swego dręczyciela.

poruszył Mimi do głębi. Wlepiła w papugę oczy pełne wzruszenia.

Lulu nie była zbyt łagodną, trzymała Bobka ostro. Ledwie odbiegł od niej cokolwiek dalej, chwytała go za ogonek, przyciągała do siebie i biła. Sprytny Bobek robił wtedy pokorną minę, a Lulu głaskała go i pieściła na przebaczenie.

Majtkowie męczyli często biedne małpy, targali je za ogon i dręczyli wszelkimi sposobami. Bawiły ich pocieszne miny rozgniewanych zwierząt.

Razu pewnego dostała się Lulu do kuchni i ściągnęła flaszkę wina. Wyjęła zręcznie korek i napiła się orzeźwiającego płynu.



Od tego zajścia, zraniona i zelżona Mimi chorowała ciągle. Nia bawiły jej figle Bobka, nie wzruszały pieszczoty Lulu.

Pewnego dnia usłyszała Mimi ostry, znajomy głos, słyszany często w rodzinnym lesie... Tknęło ją to — podniosła się i zobaczyła szarą papugę, huśtającą się w wielkiej, okrągłej klatce.

— Dzień dobry, zawołała papuga i poczęła gadać bez przerwy, uradowana tem, że wyniesiono ją na pokład z kajuty.

Ten głos znajomy przypominający ojczyznę,

— Ty nieznośny szkodniku! — wrzasnął kucharz i począł bić Lulu.

Biedna małpka ukryła w głębi serca urazę i żal.

Kilka dni minęło. Po objedzie położył się kucharz na podłogę pokładu i usnął głęboko.

Lulu podkradła się do niego, nabrała ze zlewu najwstrętniejszych pomyji, zbliżyła się do swego wroga i zdradziecko włożyła mu je w otwarte usta. Kucharz skoczył, przecierając oczy i plując. Lulu biegła wzdłuż pokładu z podciągniętym

ogonem, a majtkowie, którzy widzieli to całe zajście śmiali się serdecznie.

II.

Dzień był cudowny słoneczny. Okręt zbliżał się do swojej ojczyzny. Twarze marynarzy promieniały nadzieją zobaczenia swoich bliskich.

O Lulu prawie zapomniano. Przy rozstaniu, oficer, któremu małpa się znudziła, darował ją staremu majtkowi.

Lulu była zmianą właściciela bardzo przygnębiona. Z całego serca nienawidziła starego majtka. Przytulona do Bobka, który tymczasem trochę podrósł, oglądała go gniewnie i zgrzytała zębami.

Stary marynarz sprzedał Lulu i Bobka handlarzowi ptaków. I w ten sposób dostały się małpeczki do ciasnej klatki. Tam siedziały już wielkie małpy różnych gatunków, tureckie małpki i puszyste króliki.

Klatka stała w ogródku, w którym sprzedawano na wiosnę zwierzęta. Były tu ładniutkie świnki morskie, pstre papugi i delikatne, egipskie gołębie. Z jednej strony gdakały kury, z drugiej krzyczały kakadu o wielkich czubach, żółwie i niezwykłe jaszczurki.

Nową znajomą małpy uważnie obwąchały, obmacały i dotkliwymi szturchańcami dały jej do poznania, że ma się stosować do więziennych zwyczajów i uznać zwierzchnictwo wielkich, silnych małp.

Zaraz na wstępie, w klatce powstała bójka, krzyk i lament nie do opisania. Wielka małpa wydarła Lulu znaczny kęs bułki. Lulu rzuciła się na nią i wbiła się pazurami w jej sierść. Ale w nagrodę za to dostała od towarzyszek takiego lania, że biedactwu pociemniało w oczach.

Lulu przechodziła teraz ciężkie koleje.

W chłodne, dżdżyste dni trzęsła się z zimna, nie mając starej kołdry kapitana, ani szmat, które majtkowie jej darowali. Skurczona siedziała przed żelaznemi kratami i żałośnie spoglądała na przechodniów.

„Popatrz się jaka to figlarna małpka — mówił chłopiec do kolegi — co ona tam robi?“ I wstrzymując oddech, dzieci przyglądały się Lulu. Ona chciała ogrzać się za wszelką cenę i w tym celu spędziła kilka królików na kupę do kąta. Tchórzliwe, zwierzątka przycisnęły się do prętów klatki i wyglądały jak biały, puszysty kłębek. Lulu zawołała Bobka i najspokojniej ulokowała się wraz z nim na tej miękkiej i ciepłej pościeli. Skurczywszy się, usnęła głębokim i słodkim snem i spała dopóki wielka małpa nie spędziła jej z ogrzanego miejsca.

Lulu źle się teraz odżywiała i żebrała u przechodniów. Razu jednego, w południe, słońce tworzyło wesołe, ruchliwe, jasne plamki na szmaragdowej zieleni liści. Wiaterek przynosił świeży, orzeźwiający zapach rzeki. Ptactwo świergotało przecudnie wspominając niebieskie morze podzwrotnikowych krain, cudny las, błękit nieba i skwarne słońce... Lulu była w złym humorze.

Koło klatki stanął pan w jasnych, skórzanych rękawiczkach i cieniutką laseczką w ręku. Za nim było grono eleganckich pań.

— Jaka ta małpeczka zabawna — powiedział pan — i jak ona smutno wygląda. — Panie roześmiały się i do klatki posypał się deszcz cukierków i owoców. Lulu zręcznie chwytała i mimo ogólnej bójki miała obfite śniadanie. Teraz uwaga jej zwróciła się na cygaro w ręku pana. Jaki ładny ten ogień! Cieńkiemi nitkami snuł się dym do góry. Lulu z błaganiem wyciągnęła rękę.

— Proszę zobaczyć jak małpa pali, — drwił pan i wsunął między pręty dymiące cygaro. Lulu wzięła je, włożyła do ust i w tejże chwili krzyknęła rozpaczliwie. Straszny grymas skrzywił jej twarz i daleko odrzuciła cygaro. Podstępny człowiek dał jej palący koniec do ust...

Zagniewanym i mściwym wyrazem wysunęła Lulu rękę i złapała figlarza za nos. Ach! Twarz jego była krwią zbroczona, a nos zdobiła wielka rana. Tydzień minął i znów nasz gogo zabłąkał się do ogródka. — A ty mała złośnico, pamiętasz jeszcze, jak mi nos zraniłaś? — Ledwo wymówił te słowa, a giętka ręka znów się wysunęła i na nowo podrapała jeszcze nie zupełnie zagojony nos.

Pewnego jasnego, świeżego poranku życie Lulu zmieniło się. Kilka dni z rzędu zjawiał się w skwarze jakiś smagły, bardzo ubogo ubrany człowiek i oglądał uważnie małpy. Lulu pokrzywiała mu się. — A to figlarka — mówił smagły człowiek — co żądasz za nią? — Gospodarz powiedział od niechcenia jakąś sumę. Nazajutrz smagły człowiek znów przyszedł do ogródka. Postanowił kupić małpkę.

Gdy otworzono klatkę, Lulu niezmiernie się ucieszyła, sądziła, że jej dają wolność. Biedaczka omyliła się gorzko. Smagły człowiek włożył jej kaganiec i na łańcuszku powlókł za sobą. Lulu rzucała się wściekle, rwała się z rąk nowego pana, kąsała, drapała i żałośnie wołała Bobka. Niestety! rozłączono ich na zawsze! Za kilka dni sprzedano Bobka do menażeryi, gdzie został przez całe życie.

Smagły człowiek, który kupił Lulu, był Włochem — kataryniarzem. Chciał wozić Lulu ze sobą i dawać przedstawienia. Ubrano ją w czerwoną, wełnianą spodniczkę — i — czerwony kołpak. Lecz za to nie miała ciepłego kąta — nie miała co jeść!

Gospodarz uczył ją różnych sztuczek. Lulu zmartwiona rozłąką z Bobkiem, nie słuchała rozkazów gospodarza.

— Tralala! — śpiewał Włoch półgłosem — tralala! w tany, w pląs!

Lulu miała unieść przytem spodniczkę i podskakiwać na tylnych łapkach. Razu pewnego uparta Lulu puściła swoją spodniczkę i usiadła na ziemi. Oczy jej poruszały się niespokojnie. Kłapała zębami.

Ciężka laska opadła na grzbiet nieposłusznej małpki.

Przy kataryniarzu stał synek jego z czarnemi jak węgiel oczyma. Jakże się cieszył, gdy kupiono Lulu! A teraz... teraz, tak bardzo żal mu było tej biednej małpeczki! Mimowoli chwycił ojca za rękę.

— Czy chcesz Pietro, bym na tobie także trzcinki mej spróbował — zawołał gniewnie kataryniarz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIE CHORUJ!

Napisał

Dr. med. Leon Bross.

Jakim sposobem człowiek, którego bakterye opadły, nie zawsze umiera, pomimo, że trucizny wytworzone przez nie, zawsze do krwi się dostają i po całem ciele płyną?

Bo człowiek ma w sobie broń przeciw bakteryom.

Przedewszystkiem nie wszystkie baterye, które się do człowieka dostaną, muszą zawsze wywołać chorobę. Bo jeżeli się one n. p. dostaną do gardła, to czy zawsze muszą się rozmnażać i rozwijać? Przekonamy się, że nie zawsze. Czytałeś zapewne w trzecim numerze „Promyka" o amebach. Otóż całe ciało ludzkie składa się z milionów takich ameb, ułożonych obok siebie jedna przy drugiej. Mają one najrozmaitsze kształty, zależnie od tego w jakiej części ciała się znajdują. Jedne z nich wyglądają jak cylindry, inne są przypłaszczone, inne mają kształt kubków, to znów kul, to znów pajączków i t. d. Otóż wszystkie te komórki, bo tak te cząsteczki ciała naszego się nazywają, bronią się przed bakteryami. Mogą je nieraz wciągnąć w siebie i pożreć. Najsilniejsze zaś są te komórki, co stoją w pierwszym szeregu. Np. w gardle komórki z pierwszego szeregu są umieszczone ściśle jedna obok drugiej, jak kamienie na bruku. Ten pierwszy szereg komórek nazywają przybłonkiem. Otóż bakterye rozpoczynają po osiedleniu się n. p. w gardle, na migdałku, najpierw wojnę z tym pierwszym szeregiem komórek, z tym przybłonkiem i tu one już mogą zginąć. Jeżeli jednak ten pierwszy wał ochronny przełamią i w tej walce uda im się przybłonek zniszczyć, wtedy idą dalej. Ale w dalszych warstwach komórek spotkają oprócz zwykłych komórek, już nie tak gęsto obok siebie umieszczonych, jeszcze tak zwane c i a ł k a b i a ł e k r w i, z któremi przyjdzie im walczyć.

Te ciałka białe są wogóle ciekawe stworzenia. Są to drobne kuleczki, zaledwie kilka razy większe od bakteryi. Jest ich w krwi tak dużo, że na przestrzeni tak wielkiej jak kostka na 1 milimetr szeroka, 1 mm wysoka, i 1 mm długa, płynie ich w krwi 8 tysięcy. Otóż zawsze, skoro tylko jakaś część ciała jest w niebezpieczeństwie, te ciałka białe natychmiast spieszą w wielkiej ilości na miejsce walki. Przedostają się mianowicie ze krwi, z wspomnianych już rureczek włosowatych, które jak wiesz znajdują się wszędzie na całem ciele i rozpoczynają natychmiast bitwę z nieprzyjacielem. One jeszcze lepiej potrafią walczyć z bakteryami, aniżeli komórki nabłonkowe, i często się też tak dzieje, że bakterye im ulegają. Ale nie zawsze, a wtedy choroba coraz dalej się rozwija. Bakterye żyją sobie w najlepsze, rozwijają się, mnożą, wytwarzają trucizny i te trucizny dostają się do krwi. Tam niszczą przedewszystkiem krew. Ale i krew się nie daje, bo tu znów te białe ciałka krwi rozpoczynają walkę z temi truciznami, wytwarzając zaraz inną truciznę, która niszczy truciznę wytworzoną przez bakterye, i c z y n i j ą d l a c z ł o w i e k a n i e s z k o d l i w ą. Widzimy więc, że człowiek nie czeka i nie da się tak łatwo zniszczyć bakteryom, a przynajmniej nie zawsze. Wszystko naturalnie zależy od bardzo wielu okoliczności. I tak n. p. od tego, ile tych bakteryi do człowieka się dostanie. Bo jeżeli ich jest mało, to oczywiście człowiek łatwiej sobie z niemi da radę. Jeżeli dostaną się do niego złośliwe bakterye, to trudniejsza sprawa. Dalej zależy bardzo wiele od stanu, w jakim człowiek się znajduje, w chwili gdy go bakterye napadną. Jeżeli był zupełnie zdrów, to oczywiście wszystkie jego części ciała i komórki i ciałka białe i krew są tak silne, że sobie dadzą radę z bakteryami. Inna rzecz, gdy one napadną człowieka już schorowanego, którego żołnierze są zbyt słabi, by mogli podołać nieprzyjacielowi. Wtedy jest źle. Bo jeżeli pierwszy napad nie będzie należycie odparty i walka się zacznie przeciągać, a bakterye się tymczasem rozwielmożnią, zaczną się rozmnażać i truć człowieka, wtedy coraz trudniej zwyciężyć. A koniec tej walki może być smutny.

Widzimy to codziennie. Ludzi wyniszczonych ciężką pracą, złem odżywieniem się i złemi, dusznemi mieszkaniami w których po całodziennej robocie szukają wypoczynku, takich ludzi choroba łatwo się czepia i nie tak łatwo opuszcza.

Zwłaszcza jest jedna straszna choroba, która niszczy rokrocznie olbrzymie ilości ludzi, a zwłaszcza takich, którzy żyją w nędzy i ciemnocie. Ona niszczy przeważnie takich, którzy nie mają dość środków na to, by mogli zaszanować zdrowie, lub ratować się, gdy choroba ich już nawiedzi. A ileż to jest takich, którzy nie wiedzą co robić, by uszanować zdrowie?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Od Redakcyi.

Lusi L. w Tarnopolu. Przedostatni list Lusi zaginął pewnie na poczcie. Dlatego nie wymieniono, że Lusia zagadki odgadła.

Zosia i Henryś B. we Lwowie. Dziękujemy bardzo za miły list Zosi i Henrysia.

Irmie H. w Rzeszowie. Chętnie przeczytamy bajeczki Musi.

Leosiowi M. w Stanisławowie. Konopnicka urodziła się w roku 1846. Pierwsze poezye jej wyszły drukiem w r. 1876.

Stasiowi S. w Przemyślu. Nie wymieniono Stasia ostatnim razem, bo list doszedł nas zapóźno, gdy numer był już w druku.

Zagadki na konkurs przysłali: *Ludwiś A. z Podgórza, Julian E. ze Lwowa, Salo G. z Tarnopola, Marya H. z Przemyśla, Leoś M. ze Stanisławowa, Karol R. z Tarnopola, Staś S. z Przemyśla, Maniusia W. ze Lwowa, Franciszka C. z Przemyśla Hermina S. ze Lwowa.*

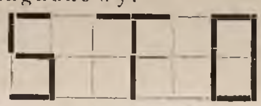
W następnym numerze podamy Czytelnikom nazwiska tych, którzy dalsze zagadki nadeszlą, oraz wynik konkursu. Jako nagrodę konkursową przeznaczamy dużą puszkę botaniczną.

Rozwiązanie zagadek z nr. 6.

Łamigłówka:

Alkohol
Nero
Gawron
Lord
Irysy
Aron
Anglia — Londyn.

Figielek zagadkowy:



Rozwiązanie zagadek nadesłali: *Ludwiś A. z Podgórza, Fela B. z Tarnopola, Ryszard, Alfred i Erwin B. z Brodów, Marya C. z Tarnopola, Leontyna B. z Kołomyi, Mateusz G. w Przemyślu, Irma H. w Rzeszowie, Mania H. w Przemyślu, Tadzio I. we Lwowie, Salo G. w Tarnopolu, Wilhelm F. w Tarnopolu, Zosia i Henryś B. we Lwowie, Jańcia K. w Tarnopolu, Hela K. w Tarnopolu, Lusia L. w Tarnopolu, Staś S. w Przemyślu, Janka S. w Rzeszowie, Elżbieta S. w Myszkowcach, Maryla Wohlmann we Lwowie, Romcio Z. we Lwowie, Renée Aberdam w Przemyślu, Herminka S. ze Lwowa, Helusia G. z Borka szlacheckiego, Franciszka C. z Przemyśla, Paulina Z. ze Lwowa, Alfred H. w Kołomyi, Leon M. w Stanisławowie, Helena P. we Lwowie, Karol B. w Tarnopolu, Adaś M. z Przemyśla, Alfred G. z Tarnopola, Stanisław S. z Jasła.*

Nagrodę dostaje tym razem Ludwiś A. z Podgórza. Przez omyłkę nie wydrukowano w zeszłym numerze, że nagrodę dostała Leontyna B. w Kołomyi.

Łamigłówka.

Łamigłówka nadesłana przez Karola R. w Tarnopolu:

1	2	3	4	5	6	7

Umieścić 100 koni w siedmiu rzędach.

Szarada.

Szarada nadesłana przez Leosia M. w Stanisławowie:

Z *„i“* nie jestem niczem tobie, Bez użytku i uczynku. Jeśli mieszczę *„o“* zaś w sobie, Wołam Ciebie do spoczynku.

W nagrodę damy tym razem książeczkę p. t. „Opowiadanie wróbelka“.

Kącik dla małych dzieci.

Piłka.

Maniusia miała śliczną piłkę — z jednej strony była czerwona, a z drugiej niebieska.

Maniusia rzucała piłkę do góry. Gdy rzuciła ją mocno — szła wysoko, wysoko, gdy rzuciła ją słabo — szła niżej. Po chwili piłka spadała zawsze na ziemię.

Piłka jest cięższa od powietrza, więc spada — idzie w górę tylko wtedy gdy się ją podrzuca.

Balonik gazowy jest lżejszy od powietrza, więc sam ze siebie idzie do góry, trzeba go trzymać za sznurek, aby nie uleciał i trzeba go ściągnąć, aby zeszedł.

Maniusia woli bawić się piłką, bo ta nie psuje się tak łatwo jak balonik gazowy. Wymyśliła sobie dobrą zabawę i zamiast do góry, rzucała piłkę na dół, na ziemię.

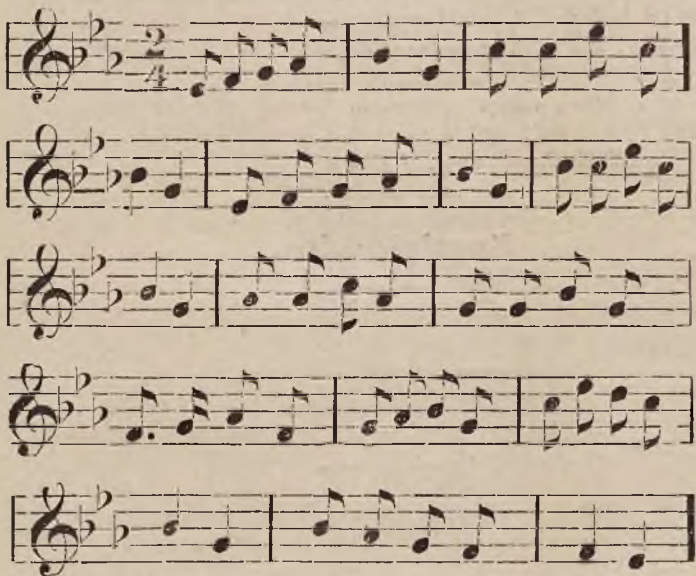
Piłka odbijała się o podłogę i podskakiwała do góry — potem spadała znowu.

Im mocniej Maniusia rzucała — tem silniej odbiła się piłka i tem wyżej podskakiwała. *B.*

Piosenka do nut.

Dalej! Dalej! Dalej!
Do ogródka dzieci,
Już nas wiosna wita
Słońce ślicznie świeci.

Dosyć, dosyć tej pokuty.
Każdy siedział jak przykuty
Kiedy była zima.
Teraz już jej nie ma!



Patrzcie, patrzcie w koło,
Zielenią się drzewa,
Ślicznie rosną kwiatki,
Wdzięcznie ptaszek śpiewa.

Dalej, dalej, gdzie murawa,
Niechaj toczy się zabawa.
Zima uleciała!
Wiosna już nastała!

Ogródek.

Antoś mieszkał zwykle na wsi. Razu pewnego przyjechał z rodzicami swoimi na niedzielę do miasta. W mieście miał ciocię Andzię, wuja Witolda i ich dzieci Lili i Wicusa. Ogromnie się dzieci sobą cieszyły. Ze wszystkich zabaw najlepiej lubiły słuchać opowiadania Antosia o ogródku na wsi.

— Przy domku naszym jest ogród i łąka — mówił Antoś. — Do ogrodu wolno mi wybiegać samemu, kiedy chcę tylko, wolno mi zrywać kwiaty, biegać po trawie, nawet siedzieć i leżeć w trawie mi wolno.

— I nie ma strażnika w ogrodzie? — pytały zdziwione dzieci.

— Nie ma.

— U nas, w mieście, chodzi zawsze po ogrodzie strażnik i nie pozwala dzieciom deptać trawy i zrywać kwiatków. Nam tylko po ścieżkach chodzić wolno.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

Dzieci pobiegły do tatusia z zapytaniem:

— Dlaczego na wsi wolno zrywać kwiatki i bawić się na trawie, a u nas nie?

— Na wsi — odrzekł tatuś — jest Antoś jedynem dzieckiem w ogrodzie, on dużo trawy podeptać i zgnieść nie może, choćby nawet leżał w niej. — Rodzice jego wiedzą, że jest mądrym chłopczykiem, że nie zniszczy pączków na klombach i nie podepce zasianych młodych roślinek. Antoś zrywa sobie dziko rosnące kwiatki. Ogród na wsi służy tylko rodzicom Antosia i jemu. Miejski ogród urządzony jest dla przyjemności wszystkich ludzi, którzy w mieście mieszkają. Więc przychodzi do niego ogromne mnóstwo ludzi i ogromne mnóstwo dzieci. W mieście przed domami nie ma małych ogródków dla każdego, tylko jest jeden wielki ogród, do którego wszyscy na przechadzkę chodzą.

— Gdyby tak wszystkie dzieci, które do miejskiego ogrodu chodzą, mogły bawić się na trawie i zrywać kwiatki, podeptałyby z pewnością cały trawnik i nie zostawiły ani jednego kwiatka. Zniszczyłyby pracę ogrodnika i jego pomocników i ludzie w mieście nie mieliby przyjemnego miejsca dla swoich przechadzek. Dla tego żadnemu dziecku nie wolno w miejskim ogrodzie deptać trawy.

— A jak ty się bawisz w swoim ogródku? — pytały dzieci Antosia.

— Mam tam swoją własną grządkę, którą wolno mi samemu uprawiać. W jesieni już skopuję grządkę, żeby ziemia na niej była pulchna. Na wiosnę daje mi mamusia nasiona, które zasiewam, sadzonki, które zasadzam i cebulki, które wkładam do ziemi. Podlewam grządkę co wieczora, mamusia stoi przy mnie i uważa bym się nie oblał wodą. Z tych ziarneczek i cebulek, które wsadzamy z mamusią do ziemi, rodzą się śliczne roślinki. W tym roku dała mi mamusia małe, czarne ziarneczka. „Poczekaj cierpliwie, a zobaczysz co z tego wyrośnie“ — powiedziała. Podlewałem co wieczora grządkę. Minęło dużo dni i nocy, aż razu pewnego rano zobaczyłem na grządce, w tem miejscu, w które ziarno wrzuciłem, malutkie, zielone listeczki. Te listeczki były coraz większe; za parę dni pokazały się koło nich pączki kwiatów, a znowu parę dni później rozwinęły się pączki i zrobiły się z nich śliczne, kolorowe bratki. Z cebulek, które mi mamusia kazała do ziemi wsadzić, wyrosły tak samo śliczne, białe narcyzy, które tak pięknie pachną, że woń ich rozchodzi się po całym ogrodzie. Z sadzonek, które dostałem, zakwitły różowe, pełne stokrótki.

Lili i Wicuś słuchały tego opowiadania z ogromnem zdziwieniem. Tatuś po oczkach ich poznał jak bardzo i one chciałyby mieć własny ogródek i sadzić sobie kwiatki.

— Czy chciałybyście i wy mieć ogródek? zapytał.

Dzieci podskoczyły na myśl o tem, więc tatuś przyrzekł im, że kupi im doniczki, napełni je ziemią i da im nasiona, by i one mogły hodować sobie kwiatki, pomimo że prawdziwego ogródka nie mają.

Wydawc. i odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Lindego l. 8.